



Błędny ognek

Do chaty Kobusów przyszła panna Marja, nauczycielka szkoły w Dąbrówce, zawsze mile tam witana. Było to wczesną jesienią; po dniu gorącym nastąpił chłodny wieczór i orzeźwił wszystkich.

— A gdzie to Antek? — zapytała panna Marja, pijąc mleko, podane przez Kobusową.

Był to jej uczeń, 14-letni syn Kobusów.

— Cieleń nam zginęło, posłałem go więc, żeby je wyszukał — odpowiedział Kobus.

W tej chwili do izby wpadł chłopak, blady i wystraszony.

— Co się stało? — zawołał rodzice.

— Gonią mnie dusza . . . pokutująca!

— po chwili odpowiedział Antek przerywanym głosem.

Matka przeżegnała się, ojciec z powątpiewaniem pokiwał głową, panna Marja uśmiechnęła się.

— A jak ona wyglądała? — zapytała.

— Jak różga płonąca, to znów jak świeczka. Im prędzej bieglem, tem szybciej mnie goniła . . . Oj! tchu złapać nie mogę ze strachu...

— A w którym to miejscu ukazało ci się to światelko?

— Na tem bagienku pod zagajnikiem.

— Byłem tego pewna! Niepotrzebnie się wystraszyłeś: to nie była dusza pokutująca, lecz błędny ognek, zjawisko częste na moczarach, cmentarzach, torfowiskach, pobojuwiskach i wogóle w miejscach, gdzie

gniją ciała organiczne. Skutkiem gnicia, wywiązuje się tam gaz, który sam się zapala.

— A dlaczego on biegnie za człowiekiem? — zagadnął Antek, niezupełnie jeszcze przekonany.

— To bardzo naturalne: ponieważ siedzieć prędko, za tobą tworzyła się próżnia, w którą wchodzące powietrze popychało błędny ognek. Przeciwnie, gdy chcesz zbliżyć się do niego, powietrze, popychane przez ciebie, odepchnie ognek dalej.

— Czasem był tuż przy ziemi, a czasem unosił się nad nią rzekł Antek.

— Unosi się, jeżeli napotka warstwę kwasu węglanego nad powierzchnią ziemi. Zwykle ma kształt niebieskiego jęczyczka, rzadziej bywa podobny do płomyka świecy, lub do różgi. Ruch powietrza sprawia, że błędne ogniki skaczą z miejsca na miejsce. Niejeden człowiek zginał przez nie: wiedziony ciekawością, chciał im się przyjrzeć i, nie widząc w ciemności zdradnego bagna, utonął w niem. Myślę, mój chłopcze, że już nigdy nie weźmiesz błędnego ognika za duszę pokutującą?

— Teraz, kiedy wiem, co to jest, nie będę go się bał — oświadczył Antek.

W tej chwili coś zaryczało za oknem: zablakane cieleń samo wróciło do obórki ku wielkiej radości Antka i Kobusów.

Z. Sokołowska

W kanadyjskiej kniei

Pnie drzew niebotycznych — prawie stumetrowej wysokości zwartym stoją tłumem. Daglezje — podobne do naszej jodły, olbrzymie tuje i cedry kanadyjskie wznoszą gęste gałęzie nad kobiercem mchów i różnych paproci, pokrywającym płytką glebę naskalną. Polanki i luki powstałe po wywrotowiskach zarastają klony i przeróżne krzewy z leszczyną na czele. Przepysnie rozpanoszyły się tam sploty prawie drzewiastych jagodzin, przypominających nasze borówki. Zwaly akai — dziwacznie przez stulecia porośniętych i poszczerbionych, tworzących jaskinie i rozpadliny, nagością swoją wyróżniają się jaskrawo na tle bujnej zieleni . . .

Jedną z takich zamaskowanych pogmatwaniami zarosłami szczelin upodobał sobie stary grizly — szary niedźwiedź i urządził w niej legowisko. W zimie spędzał w niej długie miesiące rozkosznej drzemki, podczas której nie obchodziły go ani wichry zawałające całą ziemię zaspami śnieżnymi, ani mróz trzaskający . . . Teraz, gdy wiosna się zbudziła, jakaś ręka niewidzialna ujęła starego śpiocha za splecione kudły na karku i wywlokła go z dusznej gawry. Przeciągnął się olbrzymi niedźwiedź, wyprostował ścierple i ocieżyłał od długiego bezruchu członki, spojrzął małymi, burymi oczkami na pełną przepychu wiośnianego knieję i poczuł w sobie siłę nieprzebraną, a zarazem wielki głód! Mała, szara wiewiórka-czykari, która dawno już władcy kniei kanadyjskiej nie widziała, zgrabnie skoczyła na koniec giętkiej, miękkim igliwem okrytej gałęzi daglezji i zawrzęszczała gdakającym głosem — prawdopodobnie jakieś najnowsze przekleństwo. Z trwożliwym furkotem twardych skrzydeł wyfrunął z gęstwiny brusznic długoogoniasty cietrzew kanadyjski i znów ciszą niczem niezakłóconą witała knieja swego pana - szarego grizly.

Niedźwiedź powstał chwilę, pogrążony w zadumie. Potem skierował swe kroki przewalając się i sapiąc, ku samotnie stojącemu opodal cedrowi. Gdy się doń zbliżył, uniósł się na tylnych łapach, oparł

przednie o pień wiekowego olbrzyma i zaczął ostrzyć potężne pazury. Kiedy znalazł je za dostatecznie eleganckie, otarł się czarnym, wilgotnym nosem i wlochatym podbródkiem o korę stałego drzewa, które od wielu lat prawie codzień w tym celu odwiedzał. Niedźwiedzie grizly znaczą pazurami wybrane drzewa i ocierają się o nie prawdopodobnie po to, aby sąsiedzi przy odwiedzaniu ich królestwa mieli właściwe pojęcie o sile i wroście właściciela posiadłości, o których to cechach wyraźnie świadczą brzoźdy pozostające po pazurach i wysokość miejsca pocierania nosem. Nasz grizly zapewne mało miał rywali, ponieważ odznaczał się niezwykłą siłą i okazością.

Długim pasem ciągnie się ojczyzna grizly wzdłuż wybrzeży Oceanu Spokojnego — od Alaski do Meksyku. Zachodnie połacie Kanady są dla nich miejscowością najodpowiedniejszą. Lasy nieprzysłane — dawniej, przed przybyciem zaborczego człowieka, jeszcze bardziej pierwotne — oblitują w smaczne i urozmaicone pożywienie. Jagody, zioła aromatyczne i korzonki są przysmakami wybornymi, a oprócz tego — jako główne danie — służy mu sutą daniną, którą płaci swemu władcy knieja w postaci tłustych wiewiórek ziemnych - tamiasów, jeleni, wapiti, reniferów — w części północnej — i wielu innych słabszych od niego zwierząt. Napada grizly i na bydlę domowe, lecz zwykle woli się nie trudzić i zjada padłe, ranne lub zabite zwierzęta. Teraz stosunki w społeczeństwie leśnym pogorszyły się znacznie ku wielkiemu zmartwieniu starego grizly, który wolałby zjeść parę kozłat wapiti, lub młodego karibu — krewniaka renifera, niż opuszczać zaciszny zakątek rodzimej kniei urządzając długie i niebezpieczne wyprawy w doliny lub na brzegi lasu, gdzie pasą się stada owiec i bydła rogatego. Już od kilku lat dawał się we znaki stary rozbójnik okolicznym mieszkańcom. Wielu dzielnych, doświadczonych myśliwych traperów próbowało go podejść i ukarać śmiercią za poniesione straty. Szary olbrzym zdążył jednak poz-

nać najróżniejsze zdradzieckie sztuczki człowieka i, jako talizman, nosił pod włochatą skórą kulę, która ugrzęzła i zasklepiła się przy prawej łopacie: całe szczęście, że się odbiła ta kula od skały i traciła przeto siłę! Teraz stary miś namyślał się głęboko, w którą stronę pójść po upragniony pokarm — czy z kniei się na chwilę wydostać i owieczkę lub cielaczka chwycić, czy tu, w gąszczu, przydybać drzemającego wapiń?

Tymczasem przez gęste zarośla leszczyzny przedzierał się ostrożnie i trwożliwie dorodny łos kadanyjski. Zimą spędził on w puszczy, a teraz — zwyczajem rodaków — na lato się przenosił do niższej położonych miejsc bagnistych, dalej od brzegów ku środkowi łądnu odsuniętych. Tam rzeki potężne mają swe źródłiska, setki jezior większych i mniejszych pobłyskują tam tafłami srebrzystymi... Poczuli łos bezbronny, bo nowe rogi — rosochy dopiero niedawno odrastać mu zaczęły — obecność głodnego niedźwiedzia i pomknął czemprędzej, śpiesząc się do swych niedostępnych bagnisk. Zobaczył to wypłoszony łomotem i trzaskiem łamanych przez łosia

galezi pekan - wielka kuna — sąsiad starego grizly. Pekan był w przyjaznych stosunkach z królem kniei, więc donośnym cykaniem oznajmił mu o ucieczce łosia. Niedźwiedź, osłabiony przez długi sen zimowy, nie próbował nawet dopędzić szybkiego biegacza. Machnął z rezygnacją łapą i zjadł na pocieszenie garstkę zeszłorocznych borówek i osłupiał z przerażenia myszkę. To tylko podrażniło apetyt olbrzyma, więc podążył w kierunku małej rzeczki, gdzie, jak mu się przypomniało, zawsze było dużo ryb i gdzie trafiały się bobry. Gdy oddalił się surowy władca z ulgą odetchnęła knieja. Liczni jej mieszkańcy zaczęli się zwałiwiej poruszać. Para wiewiórek zaskrzeczała radośnie, ścigając się w poskokach weselnych po chropowatych pniach daglezyj. Tamiasy — ozdobione czarno białymi pręgami po bokach — wyjrzały z nor, nie obawiając się już nagłej śmierci w przepastnym żołądku niedźwiedzia. Drobne ptaki — czyżyki sosnowe i krzyżodzioby roznosicieli poczęły więc po całym lesie, że stary grizly wybrał się na ryby.

Inż. Włodzimierz Lindeman

Wiewiórki

Myk... wiewióreczka ruda
na sosnę się wdrapała:
— A dokądże, siostrzyczko,
będziesz w dziupli spała?

Wstawaj, już w lesie ciepło
słoneczko jasno świeci,
wstawajże stary śpiochu
i obudź swoje dzieci.

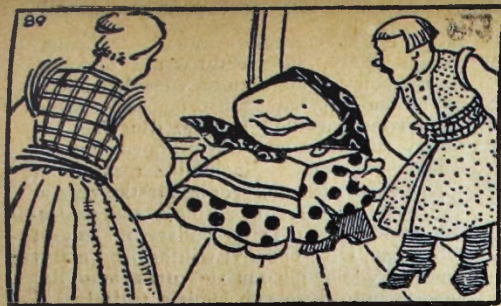
— Co też ty mówisz, ciepło?
Śnieg leży wkrąg na ziemi,
nie krzycz, obudźisz dzieci,
co pocznę w zimie z niemi?

Śpiżarnia wypróżniona
jedna, druga i trzecia,
gdy dzieci pośpią dłużej,
to czas im prędej zleci.

— Co też ty mówisz, siostrzo,
widziałam tam przed chwilą
kwiatuszek, co spod śniegu
dzwoneczek swój wychylił.

Idź spać, — odrzekła druga
czas jeszcze, wkoło śniegi,
owe dzwoneczki białe
to pierwsze przebiśniegi.

Czy napisałeś już list do Krasnoludków?



Szkoda tańców, lecz spoczne,
trochę sobie odpoczne,
by pójść drogą podgwiezdną —
wielką drogą — na Gniezno.



Toruńanie, żegnajcie
gdy stąd rusze-śpiewajcie!
Pięknie śpiewa miejski zbór!
Wiwat nasz toruński chór!



Podgwiezdną drogą, ku gnieźnieńskiej
stronie
idzie nasza Pyza po naszym wygonie.
Świeci miesiąc, świeci gwiazdy pomagają.
— tup — tup — Pyza butki po ziemi
stukają,

Jak Pyza



Wtem cosik srebrzyście pośród pól
zaświeci,
Spójrzy Pyza nocką lśną fale Noteci.
Rzeka cicho pluszcze srebrne fale cieka:
— Płyn Pyzo ku Goplu. Toć stąd nie,
daleko!

O żabkach, bocian

(Ciąg dalszy)

W żabim raju ruch i wrzawa, skaczą
żabki — hyc, hyc, hyc!

— Proszę pana, proszę pani, czy już
wie pan? — Nie wiem nic.

Wież się niesie po kałuży, że dziwo-
twór jakiś duży nad brzegami się pojawił.
Może dłużej tu zabawi...

— A niech chodzi swoją drogą. Nie
boimy się nikogo. Nawet takich długich
nóg. Nam nie straszny żaden wróg.

Tak wołają wzdęte pycha, ufne w siłę,
w liczbę, w tłum. A dziwotwór kroczy
cicho. Rede, rede, kum, kum!

Myśli bocian:

— Mam śniadanie.

Ale żabki nic nie wiedzą. Nie słyszały
o bocianie, więc bezpiecznie w stawie sie-
dzą. A niech sobie wkółko chodzi ten
wynosły pan dobrodziej. Długie nogi,
długi dziób. Kroczy bocian chlap i chlup.

Bocian bardzo zamyślony, spaceruje
tak spokojnie. On nie tknie żabek zielo-
nych. On z żabkami nie jest w wojnie.

Lecz wtem... rety! Dziobnął zgóry,
połknął żabkę jakby nic. Zajęczał żabie
chóry.

— Uciekajmy!

wędrowała



Jakże, jakże ja popłynę? Skąd łódeczki
wziąć?
Na to rzecze Pyzie księżyc: — Ja zacznę
blask prząść
i upręde srebrną nitkę i nitkę rozwinę
i omotam cię w ten promień, jako w
pajęczynę.

nie i zabiej wróżce

Hyc, hyc, hyc!

— Gwałtu rety, co to będzie! Potwór
żywcem nas pożera! Cięż bociana krąży
wszędzie! My boimy się umierać!

Lamentuje staw od rana, lamentuje
staw o zmierzchu. Gdzie się bocian ruszy
tylko, wszystko przed nim w trwodzię
pierzcha.

Lęk i popłoch padł na żabki, wyrzeź
z wody już się boją. Wpadły biedne do pu-
łapki, razem z wielką pychą swoją. Szem-
rze trzcina: — A widzicie, trzeba było tak
się puszyć? Teraz zmykacie sromotnie,
gdzie tylko bocian się ruszy.

Śmieje się też wiatr niecnota, co nad
stawem płasza nocą: — Poco było dać się
pychą bohaterów robić poco? Bocian, po-
strach żabich rzeszy, rozwał wasze sny
o chwale. Bardzo mnie to teraz cieszy. Do-
brze wam tak, doskonale.

Zniszczył bociek żabi spokój, spusto-
szenie sieje wokół. Codziennie żabek kilka
zjada, ten dziwotwór, ta szkarada. Coraz
mniejszy żabek tłum. rede, rede, kum,
kum!

Jeszcze tydzień tej zabawy, a przesta-
ną kumkać stawy.
(c. d. n.)



Przędzie księżyc srebrną nitkę, mota ją wolniusko
Chwyci Pyza nie, owinie się nią wokołuśko.
Dźwignie księżyc Pyzę w górę na tej nici drzącej,
rozhuśtał ją i postawił przy Gople szumiącym.



Nad tym srebrnym Gopłem Mysia Wieża
stoi.

Cienie drżą na wodzie. Pyza się nie boi.
Cóż to, czym się grzała zawsze u zapiecka,
bym się czegoś bała, Pyza mazowiecka —?



Zastukam, zawołam: — Myszy... myszy...

Zastukam, zawołam: — Myszy... myszy...
myszy...

Myszy, myszy! Która słyszy?
Która głucha, niech nie słucha!

W państwie korzonków

Przygrzewa marcowe słoneczko...

W podziemnym państwie korzonków zaczyna się wielki ruch...

Korzonek pierwiosnka pierwszy poczuł ciepło. Obudził się z zimowego snu Przeciągnął się. Ziewnął głośno...

— Hop! hop! — zawołał na towarzyszy. — Dość już snania! Zbudźcie się!...

— Król wicz Marzec rozpoczął swoje panowanie na ziemi. Nuże korzonki! Wysyłajmy kielki na ziemię, aby pokłoniły się Marcowi.

Obudzili się korzonki pierwiosnków.

Za nimi porwały się ze snu przylaszczki, sasanki i zawilce. Gwarno i wesoło zrobiło się w podziemnym państwie...

Kielek pierwiosnka wysunął ostrożnie żółto przystrojoną główkę. Rozejrzył się ciekawie. Wyskoczył na ziemię i zakwitł niekłym, żółtym kwiatkiem.

Za nim odważnie wychodziły na świat wszystkie. Nałożyły piękne, nowe kapelusiki: pierwiosnki — żółte, sasanki — duże, liljowe. Wesoło rozchylały swe kolorowe kapelusiki. Kołysane lekkim wietrzykiem kłaniały się wdzięcznie król wiczowi Marcowi.

Aleksander Anik-Nikończuk

Uratowanie prochowni

Prochownia była dla wszystkich miejscem zakazanym. Był to szereg ziemnych magazynów służących do przechowywania amunicji i materiałów wybuchowych przeznaczonych dla wojska. Stała samotnie zasłonięta naturalnymi i sztucznymi przeszkodami. Z lewej strony ciągnęły się nie wielkie wzgórza, a z prawej szumiął las. W odległości kilku set metrów stały groźne zasieki z drutu kolczastego i wznosiły się strome wały ochronne.

W lesie, ze względu na bezpieczeństwo, ognisk rozpalać nie można było. Zuchy o tym dobrze wiedziały. Czuli się też dumnie, że wódz wyznaczył ich do czuwania nad tym.

Każda z szóstek zrobiła sobie „punkt obserwacyjny“. Były one na drzewach. Od dołu dobrze zamaskowane, po podciągnięciu drabinki sznurowej — stawały się nie widoczne.

W nich za nastaniem ciepła zawsze ktoś siedział. Z wysoka widać było i płoty kolczaste i wały wartownika... a dalej — wartownię. Z drugiej strony lśniły się dwie srebrne niteczki szyn... Kilka razy dziennie przebiegał tamtędy pociąg wlokać welon czarnego dymu. A czasami syłał iskrami.

Strażnicy, czuli się zuchy, tak — jak i tamten na warcie... chociaż ogarniał czasami nie jednego lek przed „wielkim niebezpieczeństwem“, lecz chęć poznania czegoś niezwykłego — i stania się bohaterem — brata wnet zóre.

Zbliżyło się lato. Dnie stały się gorące. Skwarne niebo zdawało się być tuż nad sennymi wierzbokłami sosen. Las i powietrze były bardzo spokojne i Jasia, który stróżował, opanowywała senność.

Ostry turkot pociągu, jak zwykle o tej porze, przeszył las. To ocuciło zucha. Wiódł wązkiem za sznurem wagonów, aż zniknęły mu z oczu.

Naraz — ujrzał coś niezwykłego. Z sennego morza trawy wypłynęła lekka żmijka dymu. Potem błysnął ogieniek. Zaimował on szybko suchą trawę. Podczołgał się już do pierwszej sosny... Wybuchł to z jednej, to z drugiej strony. Liznął ją. Wreszcie przysnął żagwią z suchego jałowca.

Jaś wnet był na ziemi.

Wylamana gąlezią zaczął tłuc płomień. Ale ugazzone w jednym miejscu wybuchwały w drugim. Granice ich coraz bardziej się rozszerzały.

Jaś był bliski rozpaczy. A może powiadomić wartownię?

To stanowczo lepicj! Pobiegł szybko jak iskra po lonicie.

Opalony, zadymiony i spocony wpadł tam na komendanta...

Wkrótce wysłani żołnierze ugasiłi pożar.

Nazajutrz w rozkazie pułkowym przed frontem wojska wycyztało pochwałę dla zuchów, którzy z narażeniem własnego życia uratowali mienie wojskowe i życie ludzi.

Wierszyki zuchowowe

Śmieję się dębom W sto głosów las śpiewa

Śmieję się dębom,
Śmieję się sośnie:
W piersi nam jasno,
W duszy radośnie;

Zuchowa piosnka
Dzwoni, a dzwoni
W poszumie dębów ...
W żywicznej woni ...

Oby — te piosnki
Nasze wciąż rosły,
Jak te konary
Dębu i sosny!

Oby nam były
Zawsze potrzebą:
I aby zawsze —
Płynęły — w niebo:

W sto głosów las śpiewa.

— Oj, co to? Oj, co to?!
— To zuchy w nim idą

Śpiewając z ochotą ...
Już błyszczą ich zbroje,
Już widać ich z bliska,
To słabych obrońce —

Moc siły z nich tryska.
A ptaki — furr! — w górze

I każdy tam lata,
Słuchając, jak trąbki

Grają: Tra, ta, ta, ta!



T A J E M N I C A

Była sobota. Mama wyszła po zakupy zostawiwszy nas w domu. Józiek zaraz wyciągnął wędkę i począł, w kadzi, woda której była na mycie podłogi, łowić ryby. Ja zaś ze Stefką puszczałyśmy okręciki z pudełek zapalczanych. Wkrótce Stefkowi zachciało się chodzić „po morzu”. Rozuś się i wlaź do kadzi. I tu rozpoczęła się prawdziwa zabawa. Bujaliśmy kadź, a Stefek przeżywał przygody rozbitka. Woda w kadzi biła falami, przelewała się na zewnątrz, opryskiwała wszystkich.

Po minucie Stefek „klapnął” i zamoczył się do pasa. Musiał więc spodeńki powiesić na piecu. Do kadzi wlażem ja. Ze dzielnie trzymałem się na nogach, więc „morze” coraz bardziej szalało. Aż wreszcie gwałtownie i silnie przechylona kadź

wywróciła się zalewając kuchnię i pokój. Objąłem komendę. — Żywo żywo! wycierać wodę, zanim mama powróci. I zabawa zamieniła się w pracę.

Mama wróciwszy zastała, ku zdziwieniu swemu, podłogi wymyte. Nie wierzyła oczom.

— Kochane chłopaki! — mówiła sąsiadkom. — Ledwie to od ziemi odrosły, a takie chętne do pracy.

Od tego czasu staraliśmy się aby opinja ta pozostała już przy nas. Przeto przy każdej sposobności, już celowo, a nie przypadkowo, pomagaliśmy wszędzie

Dopiero będąc starszymi, skruszeni, wyznaliśmy tajemnicę.

Aleksander Anik

*Przyślij Krasnalom zagaadki, rebusiki,
szarady i zadanka własnego
układu!!!*

O czym Krasnoludki małe Zosi powiedziały

Powiedziały Zosi małe krasnoludki, że ma brudny noszek, że ma brudną bródkę.

— I nietylko bródkę, nasza Zosiu ma, lecz szyjkę i rączki, brudna jesteś cała.

Przyjrzała się Zosia w malutkim lusterku, zawstydzona wzięła żółciutkie mydelko. I do miski wody nalała świeżutkiej.

Aż skaczą z radości małe krasnoludki.

Krasnoludki skaczą i aż w rączki klaszczą, że Zosię za chwilę czyściutką zobaczą.

Myje Zosia rączki, myje noszek, bródkę, myje Zosia szyjkę, myje się całutką.

Z uciechy się pieni żółciutkie mydelko. A gdy się przyjrzała w srebrzystym lusterku, powiedziało lustro, mówią krasnoludki, że ma czyste rączki, szyjkę, noszek, bródkę.

Jak poznają świat dzieci niewidome

Zamknijcie na chwilę oczy i pomyślcie, jak to trudno żyć, nie widząc!

Dużo jest dzieci, które nie widzą, nie zupełnie, lub czasami trochę blasku. Biedne takie dzieci są bardzo! Nawet swych rodziców, rodzeństwa zobaczyć nie mogą.

Muszą wszystkiego dotknąć rączkami, żeby się przekonać, jakie ma kształty. Matka, ojciec, dobre rodzeństwo, nauczyciel lub nauczycielka pozwalają dziecku niewidomemu wodzić paluszkami po swych twarzach; by tym sposobem dowiedziało się, jakie mają rysy, lecz koloru oczu, czy włosów zobaczyć nie mogą!

Las, kwiaty i wszelkie rośliny dzieci niewidome lubią bardzo. Wąchają i paluszkami wyczuwają, czy gładkie lub szorstkie są listki i płatki, lecz pięknych barw kwiatów nie widzą nigdy!

Nawet nie mogą wiedzieć, jaka cudna jest biel śniegu, Wiedzą tylko, że śnieg jest zimnym puchem, który trzymany w ręku zmienia się w ziębiącą bardzo wodę.

Te biedne dzieci są ogromnie grzeczne i posłuszne.

Maleńkie w przedszkolu bawią się grzecznie klockami i innymi zabawkami, bardzo chętnie słuchają opowiadań lub muzyki. Są takie, które same umieją ładnie bardzo grać na organkach, a starsze na innych instrumentach. Same się myją, ubierają, ścielą łóżeczka, czyszczą bućki, sprzątają.

Poczęstowane cukierkami nie rzucają nigdy papierków na ziemię. Wiedzą bowiem, że zaśmiecony pokój, ogródek czy las — brzydszy jest od czyściutkiego, dobrze utrzymanego.

Choć same nie widzą, nie chcą ludzi widzących narażać na przykre widoki.

Dzieci niewidome uczą się tak, jak wszystkie dzieci w szkole powszechnej, tylko przystosowanej do ich potrzeb.

Piszą i czytają zapomocą specjalnego pisma, wynalezionej przez uczonego Braille'a.

Prócz nauki ogólnej uczą się różnych rzemioł i prac domowych by sobie radzić mogły w życiu.